
Prolog

Półprzytomnym wzrokiem powiódł wokół siebie. Drobinki szkła rozsypane na wilgotnej marmurowej posadzce wyglądały jak topniejący śnieg. Zanurzył dłonie, lecz chłodna, coraz mętniejsza woda nie przynosiła ukojenia. Trudno było dostrzec w niej cokolwiek i nie próbował tam spoglądać – nie miał na to siły. Zastanawiał się, co zrobić, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Był wyczerpany i bezradny jak dziecko. Jego niespokojny, głośny i rozedrgany oddech niósł się echem. Odbijany od ścian wracał, jak nieprzemijające wspomnienie sennego koszmaru.

„Co ja zrobiłem?” – pomyślał.

Wszystko przez upał

Autokar o bokach pomalowanych w jaskrawe kolory wjechał na parking przed hotelem i zatrzymał się. Kierowca uruchomił mechanizm otwierający przednie i środkowe drzwi, które po chwili z cichym sykiem uchyliły się na bok, i wyszedł, by otworzyć klapę komory bagażowej. Wtedy pojazd zaczęli opuszczać turyści – w większości ubrane na sportowo pary w średnim wieku, które po wyjściu rozdzielały się; mężczyźni tłoczyli się przy kierowcy, aby asystować przy wyjmowaniu walizek i toreb, a stojące w grupkach kobiety komentowały hotelowe menu wyeksponowane w gablocie przy wejściu.

Przeszklone drzwi rozsunęły się i stanął w nich chłopak w białej koszuli z krótkimi rękawami, mocno kontrastującej z ciemnogranatowym krawatem, w który wpięta była spinka z emblematem hotelu. Podszedł do kierowcy i zamieniwszy z nim kilka słów, zaczął pomagać przy wnoszeniu walizek.

W tym czasie kolejne osoby wysiadały z autokaru, tłocząc się wokoło. Niektórzy zaczęli już wchodzić do budynku, podczas gdy inni stali na zewnątrz, śledząc wzrokiem swoje bagaże. Chłopak

i kierowca, obaj o twarzach poczerwieniałych z wysiłku, uwijali się z kolejnymi neseserami, zostawiając je przy recepcji.

Z hotelu wyszedł wysoki jasnowłosy mężczyzna. W dłoni trzymał kluczyki od samochodu i lekką letnią kurtkę. Zatrzymał się na chwilę i popatrzył na ludzi przy autokarze. Po chwili jego wzrok spoczął na schodzącej po wąskich stopniach przystojnej kobiecie, która stanąwszy na ziemi, podeszła do grupy mężczyzn. Żaden jednak nie odwrócił się do niej. Wyglądało na to, że jest sama. Nie-wysoka, filigranowa, była prawie niewidoczna pomiędzy nimi. Próbowwała wskazać chłopakowi swój bagaż, lecz on zignorował ją lub może nie dostrzegł, kolejny raz zawracając z pakunkami. Wtedy obserwujący ją wysoki mężczyzna podszedł i dotknąwszy delikatnie jej ramienia, zagadnął. Potem wziął jej walizkę i ująwszy kobietę pod rękę, zaprowadził do recepcji. Mówił coś do niej, pochylając nad nią swą ogromną postać.

– Danke – powiedziała z uśmiechem, gdy stawiał walizkę na zimnych kaflach hotelowego holu. Mężczyzna uklonił się i na powrót wyszedł z hotelu. Dostrzegł chłopaka podnoszącego właśnie ostatnie bagaże. Podeszedł do niego i rzekł:

– Jadę już. Do widzenia.

– Zatem szerokiej drogi – odparł tamten. Jego twarz powoli odzyskiwała normalne kolory, ale oddychał szybko i miał sucho w gardle, co utrudniało mu mówienie.

– Dzięki.

– Ma pan szczęście, panie Olgierdzie. Wygląda na to, że taka pogoda utrzyma się przez cały weekend. Tak w każdym razie mówią w radiu.

– Wiem – odparł tamten. – Dla mnie to i tak bez znaczenia. Liczy się tylko dobre towarzystwo.

Chłopak uśmiechnął się i chwycił ostatnią walizkę. Olgierd ruszył w kierunku niewielkiego parkingu, na którym poza dwoma autokarami stało tylko kilka samochodów osobowych. Po chwili zatrzymał się.

– Mikołaj! – zawołał do chłopaka, a ten odwrócił się.

– Tak?

– Te kwiaty tutaj są zupełnie suche. Chyba nie były podlewane

jak trzeba. Można by posadzić nowe albo może nawet zrobić jakieś klomby, tak mi się zdaje. Powiedz to w każdym razie szefowej. Powiedz jej, że ja tak powiedziałem. Ja sam mogę zapamiętać.

– Jasne – odparł Mikołaj. – Powiem.

– Do widzenia – rzekł Olgierd i podszedł do dużej terenowej toyoty. Otworzył bagażnik i spojrzał na leżące tam torby. Potem odchylił lewe drzwi, wszedł na stopień i wygodnie rozsiadł się w fotelu kierowcy. Wyjeżdżał powoli, rozejrzawszy się, czy nikt nie przechodzi w pobliżu, a gdy był już pewien, że droga jest wolna, ruszył, uwalniając moc prawie trzylitrowego silnika.

Przez miasto jechał niespiesznie. Dopiero po kilkunastu minutach był w centrum, które wydawało się prawie opuszczone, zważywszy porę dnia. Mało ruchliwe ulice kontrastowały z biegnącymi wzdłuż nich chodnikami, pełnymi barwnie ubranych ludzi. Nie słyszał ich, ale wiedział, że mówią różnymi językami i że przyjechali poznać to miasto ze względu na znaczenie, jakiego nabrało w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.

Jadąc aleją, wzdłuż której sunął tramwaj, Olgierd skrzył na lewy pas i zrównał się z nim. Zerkał na tłoczących się w środku pasażerów. W oczach niektórych z nich dostrzegł zmęczenie upałem, emocjonalną pustkę i może też podziw lub nienawiść na widok jego samochodu z klimatyzacją. Potem tramwaj stanął i tamci pozostali w tyle. Toyota minęła budynek opery i po minucie zjechała na parking, położony nieopodal niewielkiego parku z kilkoma zaledwie drzewami. Olgierd wyszedł z samochodu i stanął w cieniu drzewa.

Zza zakrętu wychynał mężczyzna. W jednej dłoni trzymał mały plecak, a drugą ocierał pot z czoła. Miał inteligentną twarz okoloną kilkudniowym zarostem. Jego krótkie ciemne włosy lśniły w słońcu, jakby przed chwilą je umył i nie zdążył wysuszyć. Mężczyźni podali sobie ręce i przez chwilę stali z milczeniem. Ciemnowłose, także wysoki, był jednak niższy o pół głowy od swego towarzysza i znacznie od niego szczuplejszy. Rzucił plecak na tylne siedzenie, a wtedy Olgierd zapytał:

– Chcesz prowadzić?

Tamten chwilę milczał.

– Cholernie gorąco – powiedział. – Nigdy nie jeździłem czymś takim.

– Tak właśnie pomyślałem.

– Mogę spróbować – rzekł ciemnowłosy, a potem wyciągnął rękę po kluczyki i usiadł za kierownicą. Po chwili ruszyli. Samochód na powrót znalazł się na głównej ulicy. Początkowo jechał wolno, a gdy prowadzący nabrał pewności, przyspieszył i gładko pomknęli przez miasto.

– Pojedźmy obwodnicą – rzekł Olgierd po kilku minutach. – Zjedź w Oliwie. Powinniśmy gdzieś zatankować.

– Dobrze.

– I jak?

– Wysoko – odparł ciemnowłosy. – Czuję się jak w autobusie. Nie trzeba na to prawa jazdy innej kategorii?

– Nie – odparł Olgierd z uśmiechem. – To zwykły samochód. Przyzwyczaisz się.

– Może – powiedział tamten. – Nie jest to znowu tak łatwe, jak myślisz. Wiesz, że rzadko jeżdżę. Gdzie będziemy spać? Tam gdzie ostatnio?

– Nie. Wiesz, że na ten weekend nie ma tam już wolnych miejsc?

– To co zrobimy? Wracamy jeszcze dziś? Czy śpimy w tym?

– Spokojnie – rzekł Olgierd. – Zarezerwowałem pokój dobre trzy tygodnie temu.

– Przecież dopiero przedwczoraj uzgodniliśmy, że jedziemy.

– Tak, ale pomyśl miałem już wcześniej. Zawsze mogłem odwołać rezerwację.

– Powiedz mi w takim razie, jak...

– A pamiętasz, gdzie spaliśmy za pierwszym razem? – zapytał Olgierd.

– Jasne, że tak – odparł kierowca. – Za dziesięć złotych wynajęliśmy kawałek pola od jakiegoś chłopca i postawiliśmy tam namioty. Zresztą to chyba nie było dziesięć złotych. Wtedy to były jeszcze tysiące. Tego tak dokładnie już nie pamiętam. Za to pamiętam te panny, które w tych namiotach z nami spały. Chociaż nie, trudno to nazwać spaniem. Pierwszej nocy nikt z naszej czwórki nie zmruczył.

żył oka, jak sędzę. Ale teraz powiedz mi, ile kosztowało to nasze dzisiejsze zakwaterowanie.

– Ja pamiętam dokładnie – rzekł Olgierd. – Daliśmy gospodarzowi dwa piwa, co zresztą stanowiło pewnie jedną dwudziestą naszych zapasów. Ale wtedy nie jechaliśmy na weekend, tylko na cały tydzień. I pamiętam też tę knajpę, w której jadaliśmy. Pójdziemy zobaczyć, jak dziś wygląda. Wtedy chodziło się w to miejsce jak po ogień i był to dla mnie prawie najważniejszy punkt dnia.

– Ten naprawdę najważniejszy punkt dnia był wtedy w nocy – powiedział prowadzący. – I dla tych niewiast. Tak to bywa w tym wieku.

– Ale to właśnie wtedy zacząłem mieć taki wilczy apetyt – rzekł Olgierd. – Cóż, wysiłek fizyczny wzmacnia łaknienie. I dziś tak wyglądałem.

– Nie wyglądasz źle. W niektórych krajach taki wygląd to oznaka pozycji społecznej. Zresztą nie jesteś wcale gruby. Jesteś potężny, to różnica. Poza tym masz wokół siebie inne, bardziej widoczne oznaki pozycji społecznej. I tego już nie przeskoczysz.

– Mogłbym trochę schudnąć – rzekł Olgierd. – No bo spójrz na siebie. Ty do dziś nie masz grama tłuszczu. Nie to co ja. A jesteśmy w wieku, kiedy łatwo o coś takiego. – Poklepał się po brzuchu. – Szczególnie przy nieodpowiednim trybie życia.

– Marzę o takim nieodpowiednim trybie życia. Poza tym od pewnego czasu nie pracuję za biurkiem, jak wiesz.

– Zawsze byłeś szczuplejszy ode mnie. Tego właśnie ci zazdroszczę.

– Popatrz, czego można zazdrościć – zaśmiał się kierowca. – Nie byłem szczuplejszy. Byłem po prostu chudy. A z tym, że chodziliśmy tak rażno do tej knajpy, to też raczej nieprawda. Zwłaszcza po tym, jak zwichnąłem nogę w kostce, próbując się popisać przed jedną z tych lał. Przeleżałem wtedy trzy dni w namiocie.

– A ona przeważnie przy tobie, więc nie mogło być aż tak źle.

– Pewnie. Mogło być gorzej. Mogłem umrzeć z głodu, gdybyś mnie raz dziennie nie zanosił do tej knajpy na ciepły posiłek. No i gdyby ona nie dbała o mój wikt przez resztę dnia. Zdaje się, że nigdy jej za to nawet nie podziękowałem. I tobie też nie. Chyba

czas, żebym to zrobił. – Poklepał Olgierda po ramieniu i znów się zaśmiał. – Niezły był ten pierwszy wyjazd. Kolejnych już tak nie wspominam, może dlatego, że były krótsze. Tylko raz jest się chłopakiem.

– To były czasy – rzekł Olgierd. – Ile to już lat, Ant? Wiesz, ile?

– Nie. Ale mogę policzyć. Liczenie zawsze szło mi nieźle. W końcu pracowałem w banku. Zaraz ci powiem ile. Skoro było to tuż po maturze... – Przez chwilę milczał, a na jego przystojnej twarzy malowało się skupienie. – To było piętnaście lat temu – rzekł. – Dziewięćdziesiąty rok. Prawda, kawał czasu.

Mijali stojące przy obwodnicy centra handlowe, a potem domy szeregowe na zboczach porośniętych drzewami wzgórz i nowe osiedla, zawsze czteropiętrowe i różnokolorowe. Jechali szybko lewym pasem obwodnicy, mijając odległe zabudowania i wyprzedzając inne pojazdy. W środku było chłodno i cicho. Klimatyzacja pracowała prawie bezgłośnie, a jedynym słyszalnym dźwiękiem było miarowe, jednostajne, basowe warczenie silnika. Ant wyglądał na rozluźnionego – rozsiadłszy się w fotelu, przycisnął pedał gazu prawie do końca. Ani razu nie musieli zjechać na prawo, aby ustąpić szybszemu. Jechali z taką prędkością, że pozostawiane z tyłu auta już po kilku sekundach znikwały w bocznym lusterku z linii horyzontu.

Obwodnica skończyła się i wjechawszy znów do miasta, Ant skręcił na dwupasmową drogę, gdzie musiał jechać wolniej. Ruch był tu intensywniejszy niż w Gdańsku, poza tym co kilkaset metrów musieli stawać na światłach. Gdy zjechali w boczną drogę prowadzącą na północ, Olgierd powiedział:

– Zwolnij trochę. To moja ulubiona część trasy. Widzisz, nigdy nie pamiętam, gdzie tam wcześniej trzeba zjechać, ale tutaj kojarzę chyba każdy budynek. Każdy ma swój charakter. Mógłbym je wszystkie ponazywać.

– A jak nazwałbyś na przykład ten? – zapytał Ant, wskazując stary parterowy dom z białej cegły, na którego porośniętej bluszczem drewnianej werandzie kiwała się w bujanym fotelu jakaś starszka.

- Nie wiem – odpowiedział Olgierd. – Może Franciszek.
- Myślałem, że miałeś na myśli kobiece imiona.
- Kobiecymi imionami nazywa się huragany. Tak w każdym razie robią Amerykanie. To właściwie dość zabawne, jak się nad tym zastanowić. Jest w tym jakaś przewrotność.
- Nie ma żadnej – powiedział Ant. – Oni właśnie nazywają wszystko tak, jak trzeba. Tak, żeby wszystko od razu zrozumieć. No pomyśl, czy huragan, który niszczy wszystko mógłbyś nazwać Frank? – Olgierd milczał. – Nie sądzę – mówił dalej Ant. – Ale jak nazwiesz go Dorothy, to każdy facet, któremu jakaś Dorothy poprzestawiała w życiu wszystko do góry nogami, będzie widział, co ma robić, gdy usłyszy w radiu komunikat. Albo nawet nie jemu samemu. Wystarczy, że zrobiła to jego bratu, szwagrowi, koledze, komukolwiek. I wszystko jest już dla niego jasne. – Milczał przez chwilę, a potem powiedział jakby sam do siebie: – Dorothy.
- Przestań znów o tym mówić – rzekł Olgierd. – Właśnie po to tam jedziemy. Żebyś przestał o niej myśleć. Myśl sobie o kim chcesz, ale nie o niej. Zepsujesz ten wyjazd i sobie, i mnie. Popatrz lepiej na te domy. Są takie same od pięćdziesięciu lat.
- W ogóle niewiele tu się zmienia – powiedział Ant.
- I bardzo dobrze. Szkoda, że ten odcinek jest taki krótki.
- Wolę ten następny.
- Ten zaraz za lasem? Wśród pól?
- Tak – powiedział Ant. – To już za chwilę. Ale tam nie będziemy jechać wolno. Właśnie że będziemy tam gnać ile wlezie. Najszybciej jak można, zawsze tak chciałem. Nikt nas nie przegoni. I będziemy patrzeć, jak zbliżają się te wiatraki.

Wjechali na drogę wiodącą przez las liściasty, a od maski samochodu odbijały się smugi światła. Pojawiały się z rzadka, migocząc i męcząc oczy. Po kilkunastu minutach wyjechali z lasu i wtedy po obu stronach szosy zobaczyli pola. Słońce, które było właśnie w zenicie, oślepiło ich na chwilę, więc Olgierd wyjął ze schowka dwie pary okularów słonecznych. Jedną podał Antowi. Ten, założywszy je, zamknął obie elektryczne szyby, włączył klimatyzację i przyspieszył. Toyota coraz szybciej pokonywała kolejne metry rozgrzanego asfaltu.

Co jakiś czas mijali knajpy i małe bary stojące tuż przy drodze. Każdy z nich reklamowały odrapane szyldy pomalowane wyblakłymi literami. Informowały o tym, co znajduje się w jadłospisie, ale jeszcze lepiej czynił to intensywny zapach smażonych ryb i kielbasy, odczuwalny dużo wcześniej.

– Zjemy coś? – zapytał Olgierd.

– Można by. Zgłodniałem.

– W takim razie zjedźmy przy następnym barze. Za chwilę powinien jakiś być.

– O, skurczybyk! – syknął Ant.

Zobaczyli mały samochód, który wyprzedziwszy ich w mgnieniu oka, pomknął do przodu. Był to niski jasnoniebieski peugeot kabriolet z zaciągniętym czarnym dachem. Oddalał się z rosnącą prędkością.

Ant przyspieszył, ale kabriolet zniknął już za zakrętem. Zredukował bieg i toyota zawyla na wysokich obrotach. Olgierd przypatrywał mu się spod oka, lecz nic nie mówił. Po chwili znów dostrzegli peugeota, lecz był tylko małym punktem na końcu bijącej czarnym blaskiem jezdni. Ant przycisnął pedał gazu prawie do końca, aż wcisnęło ich w skórzane fotele. Kabriolet zaczął się powiększać, a po dwóch minutach mogli przeczytać już i cyfry na tablicy rejestracyjnej. Po chwili toyota zaczęła go wyprzedzać. Trwało to chwilę. Olgierd, spojrzawszy w prawo, obserwował peugeota przez szybę. Zostawiwszy go w tyle, Ant wrócił na prawy pas i przez pewien czas utrzymywał zawrotną jak na tę drogę prędkość. Napięcie znikło z jego twarzy. W jego miejsce pojawił się nikły uśmiech satysfakcji. Olgierd zauważył to i powiedział:

– Z kobietą się ścigasz, chłopcze. Nie ma powodów do dumy.

Usłyszawszy to, Ant odruchowo zwolnił na chwilę, a jego twarz przybrała zacięty wyraz, jeszcze bardziej zacięty niż poprzednio.

– Nawet ładna – dodał Olgierd. – Ma fantazję babeczka.

– Ciekawe, skąd ma taki wózek. Nie każdego stać na coś takiego.

– I wie, jak go używać.

– Pewnie jedzie wydawać ciężko zarobione pieniądze swojego męża, który o niczym nie wie, a obok siedzi jej dwudziestoletni

kochanek pałacy jego cygara – powiedział Ant. – Chciałbym to zobaczyć.

Zwolnił jeszcze trochę i popatrzył w boczne lustro. Peugeot zbliżał się stopniowo, a potem, mignawszy kierunkowskazem, zasygnalizował zamiar wyprzedzania. Kiedy samochody się zrównywały, Ant dodał gazu, uniemożliwiając kobiecie zjechanie na prawy pas. Gdy przyspieszyła, uczynił to samo. Starał się trzymać równo z peugeotem, obserwując go z góry kątem oka, co było o tyle łatwe, że samochód jadący teraz lewym pasem był dużo niższy od toyoty. Oba wozy mknęły wąską szosą, szybko zbliżając się do zakrętu.

– Patrz na drogę – rzucił szybko Ant.

Odwrócił głowę w lewo i spojrzał w dół, aby spojrzeć na pasażera peugeot. Była to długowłosa, najwyżej trzydziestoletnia blondynka, której opalone ramię spoczywało na prawych drzwiach samochodu. Patrzyła mu prosto w oczy, a w jej spojrzeniu nie dostrzegł cienia strachu przed niebezpieczeństwem ani nawet niepokojem. Spoglądała na niego z zaciekawieniem i wyglądało na to, że świetnie się bawi. Patrzyli na siebie przez kilka sekund.

– Zaraz zakręt – powiedział spokojnie Olgierd. – Decyduj się: albo ją puszczasz, albo pokazujesz, co potrafisz. W końcu nikt miał nas nie przegonić, sam tak mówiłeś.

Nagle Ant, naciśnawszy hamulec, pozwolił się wyprzedzić. Znów widzieli tylne tablice rejestracyjne peugeot. Tym razem jednak niewielki dystans między pojazdami utrzymywał się.

– Jaką miał minę ten jej gość? – zapytał Olgierd.

Ant chwilę milczał, a potem powiedział:

– To nie gość, to też babka. – Poprawił się w fotelu. – Muszę ją jeszcze raz zobaczyć.

Po chwili sytuacja powtórzyła się – oba pojazdy jechały równolegle po szosie, ale tym razem to peugeot nie chciał puścić toyoty. Ant wcisnął pedał gazu do końca. Silnik zawył i samochody mknęły tak obok siebie kilka minut. Olgierd odwrócił głowę w prawo, z coraz większym podziwem patrząc na kobietę prowadzącą kabriolet. W pewnej chwili spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Odpowiedział jej tym samym. Potem zerknął na drogę. Właśnie minęła tablicę informującą o stacji benzynowej w odległości pięciuset

metrów. Sprawdziwszy wskaźniki na desce rozdzielczej, powiedział szybko:

– Zwolnij! Zaraz zostaniemy bez benzyny. Zapomnieliśmy zatankować, a za chwilę będzie stacja. – Widząc, że kierowca nie ma zamiaru zwolnić, krzyknął: – Ant! Jak się nie zatrzymasz, będziemy musieli go pchać do Jastrzębiej.

Ant z niechęcią zwolnił i zjechał z powrotem na prawy pas. Zobaczyli, jak peugeot wyrywa do przodu, a na pożegnanie wesoło machają im ręce obu pasażerek. Ant z rezygnacją zwiesił głowę.

Po chwili toyota przejechała pomiędzy dwoma betonowymi słupami ograniczającymi wjazd na stację i podjechawszy pod dystrybutor, zatrzymała się. Parę metrów dalej był sklep spożywczy. Mężczyźni wysiedli i od razu przytłoczył ich ciężar upału.

– Ja zatankuję – powiedział Olgierd, dając tamtemu banknot. – Idź, kup coś do picia.

Wnętrze sklepu nie było klimatyzowane. Panował tam zaduch i nieprzyjemny zapach. Ant cofnął się i zostawił drzwi otwarte, lecz to niewiele pomogło. Z przeszklonej chłodziarki wyjął dwie półtoralitrowe butelki wody i stanął przy kasie. Za ladą nie było nikogo. Po minucie postawił butelki i rozejrzał się. Wyglądało na to, że w sklepie nie ma nikogo prócz niego. Mocno brzęknął o blat plastikową podstawką do wydawania reszty.

– Dzień dobry! – powiedział głośno.

– Zaraz! – usłyszał gdzieś z głębi sklepu. Zrobił krok w tamtym kierunku i dopiero teraz dostrzegł dziewczynę w fartuchu. Klęczała na podłodze, ustawiając piramidę z puszek kukurydzy. Konstrukcja była prawie tak wysoka jak ustawione obok regały i miała kształt ostrosłupa szerokiego na metr w podstawie. Ustawienie jej musiało zająć dużo czasu. Wreszcie sprzedawczyni podniosła się i poczłapała do lady. Gdy była już po drugiej stronie, spojrzała na niego pytająco, ale nie powiedziała ani słowa. Jej spocona twarz wyrażała całkowitą obojętność.

Milczał.

Ona także się nie odzywała i stali tak przez chwilę. Ant usłyszał odgłos silnika toyoty, a potem trzaśnięcie drzwi. Olgierd już zatankował i czekał na niego.

– Czego? – warknęła wreszcie dziewczyna.

– Proszę pani – rzekł powoli Ant. – Mówi się: „czym mogę służyć” albo w najgorszym razie: „co podać”.

Nie zareagowała. Popatrzył w jej puste oczy i niechętną twarz, a potem na tlenione blond włosy upięte różową spinką tuż nad czołem i westchnął.

– Chciałem kupić tę wodę. . .

– Pięć złotych – powiedziała, stuknąwszy palcem w klawisz kasy.

– . . . ale myślę sobie, że poproszę jeszcze puszkę kukurydzy.

– Tam jest – powiedziała, pokazując mu palcem miejsce, gdzie była, kiedy wszedł do sklepu.

– Tak właśnie sobie pomyślałem – odparł i powoli podszedł do piramidy. Ukląkł przy niej, a potem jednym szybkim ruchem wyszarpnął puszkę z najniższego rzędu. W następnej chwili dobiegł go przeraźliwy, głośny i piskliwy krzyk dziewczyny, który na tle kakofonii spadających i turlających się po całym sklepie puszek wydał mu się odgłosem dziwnie ludzkim. Po chwili okrzyk wściekłości powtórzył się, a potem znów.

Ant podniósł się i popatrzył na dziewczynę: jej twarz była czerwona. Oddychała szybko i próbowała coś powiedzieć, lecz nie mogła wydobyć słowa.

Do sklepu wbiegł Olgierd. Jednym spojrzeniem ogarnął wnętrze. Od razu zobaczył sklepową z wścieklą miną i rozwianymi włosami, a potem Anta pośród rozsypanych na podłodze puszek.

– To twoje dzieło?

– Nie – odpowiedział tamten, podchodząc do lady. – Nie moje. To grawitacja. Nie pamiętasz? Uczyli nas tego na fizyce. Sam mi w tym pomagałeś, więc powinienesz wiedzieć lepiej ode mnie, jak to działa.

– Daj spokój – rzekł Olgierd. – Wychodzimy.

Położył na ladzie banknot.

– Wyoście się – powiedziała kobieta.

Ant stał w miejscu i patrzył na nią, jakby czekając na coś. Ruszył się dopiero, gdy poczuł ciężkie ramię towarzysza popychające

go w kierunku wyjścia. Olgierd zręcznie chwycił butelki w jedną dłoń i wyszli ze sklepu.

Ich samochód stał teraz na małym parkingu przy samym zjeździe na drogę. Stacja benzynowa miała tylko jeden dystrybutor i nie chcąc blokować dostępu do niego, po zatankowaniu Olgierd zjechał na bok.

– Co się stało? – zapytał, gdy szli po wypróżnionym przez słońce żwirze. – Co tym razem?

Ant milczał. Szedł ciężko i powoli.

– No powiedz.

– Nic – powiedział. – Po prostu była nieuprzejma.

– Nikt nie reaguje na złą obsługę w taki sposób.

– To był impuls.

– Kiedyś taki impuls może cię drogo kosztować. I mnie też. Ona może zadzwonić na policję.

– Niech dzwoni – powiedział Ant. – Powiem im, że była nieuprzejma. Zgodnie z prawdą.

Byli już przy samochodzie. Olgierd oparł się o maskę i spojrzał w niebo. Było bezchmurne i rozświetlone.

– A ja myślę, że wcale nie chodzi o to, że była nieuprzejma – powiedział powoli. – Zdaje mi się, że idzie o coś zupełnie innego. Bo jak się tak dobrze zastanowić, to ona mi kogoś przypomina. Jest całkiem podobna do...

– To zupełnie nieistotne – powiedział szybko Ant. – To nie ma nic do rzeczy.

– Przeciwnie. Słuchaj, dlaczego nie możemy o tym pomówić wreszcie raz i do końca? Jeśli się od tego nie uwolnisz, to bez przerwy będziesz urządzał burdy w knajpach, zaczepiał Bogu ducha winnych ludzi i robił inne głupstwa, nie wiadomo w imię czego. Zemsty? Odreagowania? To się może kiedyś źle skończyć. Bo jeżeli nigdy nie masz zamiaru zapomnieć o...

– Koniec! – krzyknął Ant. – Nie mów już o niej. Nie chcę słyszeć tego imienia. Po prostu nie chcę.

– Kiedyś musisz się z tym uporać – powiedział Olgierd, wsiadając do samochodu. – Potrzebna ci inna, nowa.

– I po co?

– Żebyś przestał myśleć. Chyba tak. Musisz sobie kogoś znaleźć. Dopiero to ci pomoże.

– Jedźmy już – powiedział Ant. – To miał być przyjemny weekend.

Szybkim krokiem obszedł samochód i wsiadł, mocno trzasnąwszy drzwiami. Skręcił koła w lewo, aby wycofać łukiem. Przez chwilę kotłowały się na żwirze, a wokół wznosiły się kłęby kurzu. Potem samochód wyrwał do tyłu. Nagle usłyszeli hałas i poczuli szarpnięcie: uderzyli w coś. Ant zaklął głośno i siarczyście.

Wysiedli. Prawe przednie nadkole było wgniezione, stłuczony został też reflektor i kierunkowskaz, a część zderzaka odstawała. Metr od toyoty stał betonowy słupek, który nosił teraz ślady jej lakieru.

Ant znów zaklął.

– Stary, przepraszam – rzekł po dłuższej chwili milczenia. – Nie wiem, co mnie napadło.

Olgierd kucnął obok nadkola i pogładził wygięty metal. Potem wstał i kopnął koło. Usiadł za kierownicą i powoli ruszył, aby sprawdzić, czy wgięta karoseria nie przeszkadza w jeździe. Okazało się, że nie.

– Wsiadaj – powiedział. – Ja poprowadzę.

Ant się nie ruszał. Zwiesiwszy głowę, tępo patrzył na rozsypane na żwirze szkło reflektora.

– Cholera, no.

– Uspokój się. Niepotrzebnie zajmowałeś się tą sklepową, mówiłem ci. Po co te nerwy?

– To nie nerwy – odrzekł Ant, a potem dodał: – To wszystko przez ten upał.

– Tak, wiem. Przez upał. Pogadamy o tym na miejscu. Jedźmy, nie ma co czekać.

– Ale co z tym zrobimy?

– Teraz? Nic. Potem pomyślę. Zapomnij na razie.

– Nie mogę – powiedział Ant. – Rozumiesz?

– Po prostu o tym nie myśl – odparł Olgierd. – Grunt, że możemy jechać dalej.

Wreszcie drugi z mężczyzn z ociąganiem wsiadł do samochodu.